

Świat na haku abordażowym

Thomas Assheuer

Pięćdziesiąt lat temu ukazało się dzieło Ernsta Blocha *Zasada nadziei* (niem. *Das Prinzip Hoffnung*). O tym, dlaczego dziś nie możemy myśleć w ten sposób, pisze Thomas Assheuer.

Stoły zastawione książkami – widok typowy dla instytutów filozoficznych – są niczym innym niż grobowcem intelektualisty i cmentarzem teorii. Tu spoczywają myśliciele dnia wczorajszego oraz wzniosłe idee minionego sezonu. Wiatr bez emocji przewraca kartki – duch historii już dawno z nich uszedł.

Sz szczególnie smutnym przypadkiem wydaje się *Zasada nadziei* autorstwa filozofa Ernsta Blocha, której trzeci tom wydawnictwo Suhrkamp wydało pięćdziesiąt lat temu. W tym samym roku ukazał się *Błaszany bębenek* Grassa, *Domniemania w sprawie Jakuba Johnsona* oraz *Bilard o wół do dziesiątej* Bölla. Teraz dzieło Blocha na regałach ciąży niczym ołów. A kiedyś było przecież bestsellerem w Niemczech, wyrocznią intelektualistów, brewiarzem wszystkich odważnych, piątą ewangelią krytycznych teologów. Jak żadna inna książka, *Zasada nadziei* w oszałamiającym tempie zrobiła furorę w kręgach akademickich. Tylko nielicznym dziełom udało się zostawić równie głęboki ślad w historii prądów intelektualnych. „Upragniony deszcz dla wyschniętej ziemi” – upajał się wówczas recenzent tym liczącym 1600 stron dziełem. I rzeczywiście tak sądził.

Pięćdziesiąt lat w przypadku słynnej publikacji to niewiele, ale dla opus magnum Blocha oznacza całą wieczność. Ten, kto czyta to dzieło, jest skrajnie rozczarowany i wyciąga z lektury naukę: nie możemy już tak myśleć. Autor, skruszony stalinowiec, zamieszkuje inną galaktykę. Świat oddalił się nie tylko od idei Blocha, nie, on już od dawna zajmuje inną planetę.

Zasada nadziei – już samo to sformułowanie przyprawia czytelnika o dreszcze. Czy nie jest obraźliwe, kiedy coś tak wysublimowanego, jak ludzką nadzieję, brutalnie sprowadza się do jakiejś zasady? Czy XX wiek nie nauczył nas, że utopijne „zasady” są tylko makulaturą, filozoficznym pyłem pozostałym po intelektualistach, którzy myślą ulotność idei z trwałością faktów?

Także stylistyczne zadęcie Blocha ma wczorajszy wydźwięk. Jak stwierdził wówczas młody Jürgen Habermas, ten typ myślenia jest pretensjonalny, miejscami irytująco autorytarny, na wskroś późnoekspresjonistyczny, w stylu „filozofii Schmidta-Rotluffa”. Jest przerośniętą tkanką złożoną z pleonazmów, zdominowaną przez „wypływające z głębi piersi patetyczne zwroty”. Habermasowi w jego

życzliwej, ale jednak chłodnej recenzji ten styl przywołał na myśl raczej „Böcklina niż Benjamina”, idealizm w ubraniu lewicy, „marksistowskiego Schellinga”.

Z *Zasadą nadziei* Blocha trudno jest się zmierzyć. Warto jednak, nie tylko z sentymentalnych powodów, przywołać myśl przewodnią tego dzieła – ideę „ratunku”. Bloch rozumiał ratunek w następujący sposób: filozof przypomina rybaka na brzegu historii kultury. Niestrudzenie zarzuca on swoją sieć w nurt przekazów i cierpliwie wyławia niespełnione nadzieje, nieuzasadnione tęsknoty oraz dryfujące marzenia. Ów kulturalny nurt utożsamiał Bloch z „ciepłymi prądami”, licząc na to, że znajdzie w nich to wszystko, co „zimne prądy” wypływały już z brutalności historii zdarzeń.

Gromadzenie, chwytnie, ratowanie, przechowywanie, przyswajanie – te procesy składają się na odkrywczego ducha, na którym bazuje surowa *Zasada nadziei*. Dla Blocha – na tym właśnie polega przewodni motyw jego filozofii – wyobrażenia ludzi o kulturze były tak samo „rzeczywiste” jak odkrycia techniczne. To nie są urojenia, lecz uosobienie pragnień, które mają prawo do urzeczywistnienia się w historii. „Nadzieja jest takim miejscem na ziemi, które jest równie zaludnione, jak obszar o najwyższej kulturze, a przy tym niezbadane jak Antarktyka”. Dlatego ten badacz nadziei wznosi się na morzu historii kultury ze swoim „abordażowym hakiem filozoficznego pirata” (Adorno) i poszukuje niewyłowionych skarbów. Bloch, miłośnik Karła Maya, wędruje po cudownych krainach bajek i mitów, szpera w metaforycznych zasobach przypowieści i przygód, dokonuje inspekcji „zamków na piasku” w historii opery, a dźwięk trąbki w operze „Fidelio” Beethovena jest dla niego sygnałem do wymarszu w kolejny nowy dzień. Niczym perły na sznur Bloch nawleka ludzkie „niespełnione obietnice”. Nie brakuje tu ani „budowli Arkadii”, ani „aury antycznych mebli”, nie mówiąc już o społecznych utopiach, „od hellenistycznych bajek o państwie począwszy na Thomasie Morusie skończywszy”. Również biblia jest dla Blocha projektem fantastycznym, w którym Bóg występuje jako ukazany utopijnie „ideał nieznanego człowieka”. Tym samym religia żydowsko-chrześcijańska jest zwykłym snem o przyszłości, egzemplarzem kolekcjonerskim w encyklopedii ludzkich nadziei.

Uzasadniony jest zarzut, jakoby Bloch miał przeszywać niewinne „ciało” przekazu przy pomocy utopijnej strzałki nakazującej ruch w określonym kierunku i wykorzystywać ją do swojego nieuzasadnionego projektu. Zarzut, z którym sam Bloch się nie zgadzał. Chciał on wywieść w pole zarówno lewicowy jak i prawicowy historyzm, to znaczy: nie chciał postrzegać dzieł sztuki w sposób muzealny, jako martwego świadectwa martwej przeszłości, lecz w sposób mesjański – dokładnie tak, jakby dzieła sztuki powstawały z myślą o przyszłości, jak gdyby ukrywały w sobie utopijny nadmiar, przedsmak „lepszego świata”.

Estetyczny mesjanizm Blocha wymierzony był w dwóch przeciwników jednocześnie. Z jednej strony byli to enerdownscy partyjni filozofowie, dla których zachodnie tradycje były często jedynie grzebieniami fal w nadbudowie. Z drugiej strony chodziło o „mieszczan”, którzy czcili sztukę jako archiwum archetypów, jako złotą skarbnicę tego, co wiecznie ludzkie. Dla Blocha, profesora w Lipsku aż do

czasu jego przeprowadzki do Tybingi w 1961 roku, był to „platonizm estetyczny”, który nie zna szyfru umożliwiającego odczytanie tego, co nieureczywistnione. Zatopiony w melancholii obywatel ubolewa nad utraconym sensem swojego kapitalistycznie urządzonego świata. Dla Blocha natomiast sensem istnienia nie jest przeszłość, a socjalistyczna przyszłość – najlepsze wciąż przed nami.

Rzeczywiście Bloch wyobrażał sobie historię ludzkości jako odyseję. Pewnego dnia, kiedy wyzbędziemy się materialnej przyziemności, cywilizacja powróci ze swej tułaczki na stare wybrzeże i odkryje swoją własną świadomość. Rozpocznie się nowa epoka, a w niej – jak marzył Bloch – spełnią się marzenia ludzkości: zagonione kapitalistyczne podmioty staną się ludźmi, którzy wreszcie z własnej woli zaczną tworzyć swoją niezależną historię. Socjalizm, bo to o niego chodzi, stanowi przeskok z „królestwa przymusu” do „królestwa wolności”. Tutaj wreszcie człowiek może sobie pozwolić na niczym nieskrępowany byt i w pełni świadome doświadczanie „spełnionych chwil”. „Zgodnie z ostatnią wolą trzeba pozostać współcześnie prawdziwym. Człowiek chce w końcu świadomie uczestniczyć w tym, co tu i teraz, na bieżąco doświadczając pełni swojego życia”.

Tworzenie świata zaczyna się dla Blocha dopiero tam, gdzie kończy się historia. Do tego momentu wszystko jest tylko przymusem, „niewolą” lub nieudanym realnosocjalistycznym eksperymentem. Jednakże celem utopii według Blocha jest nie wybawienie, lecz uwolnienie, ponieważ nawet w urzeczywistnionej utopii jest wystarczająco wiele cierpienia, przerażenia i egzystencjalnego nieszczęścia. Zwalczony zostanie tylko niepotrzebny, socjalny niedostatek – wykorzystywanie i cała niesprawiedliwość, którą ludzie sobie sami zgotowali. Tak właśnie brzmi końcowe, cytowane do znużenia zdanie: „Właściwa genesis dokonuje się nie na początku, lecz na końcu (...). To jednak człowiek poprzez swoją pracę, tworzenie, dokonywanie zmian w otoczeniu stanowi podstawę historii. Jeśli to pojął i ugruntował swój byt w rzeczywistej demokracji bez wyrzeczeń i uczucia wyobcowania, to powstało właśnie coś, co wszystkim przypomina dzieciństwo, a gdzie nikt jeszcze nie był: ojczyzna”.

Komu przywodzi to na myśl zbyt bardzo lewicowego Biedermeiera, ten nie docenia solidnego materialistycznego sedna tej utopii. Blochowi nie chodziło o budującą lekturę cikliwych książek ani o duchowe spełnienie w objęciach drzemiącego ducha czasu. Bloch marzył o radykalnie innym, mianowicie marksistowskim porządku, który z industrialnych okowów uwolniłby nie tylko człowieka, ale również wyzyskiwaną naturę. „Nasza dotychczasowa technika zajmuje względem natury takie miejsce, jakie armia okupacyjna w państwie wroga, o którego strukturze nic nie wie”.

Idea uratowania umęczonej natury stanowi abstrakcyjne sedno *Zasady nadziei*, na której opiera się jej centralna, niekwestionowana myśl. Gdyby człowiek zaniechał wyzyskiwania środowiska, gdyby udało się przewyciężyć mieszczański pęd do osiągnięcia profitów i realizacji celów, wtedy upadła natura, ten niemy „przysłonięty Sfinks”, mógłby wreszcie otworzyć oczy. Inaczej mówiąc: Bloch domaga się innej, „tajemnej” relacji z naturą. Dopiero łaskawa technika, jak obwieszcza marksistowski romantyk, jest w stanie rozwiązać ten „węzeł gordyjski” i wyznaczyć kres epoce, na którą złożyły się

podporządkowanie sobie natury i wymuszony rozwój. Humanizacja natury oraz naturalizacja człowieka stanowią podstawę jego programu. Bicie „serca ziemi” ma być słyszalne w „dziełach techniki“, a „ludzka” natura powinna przemawiać ustami ponownie „naturalnego” człowieka, tak, jakby sama potrafiła mówić.

Trzeba jednak dodać, że tę wspaniałą strukturę świata można obalić jednym, jedynym argumentem. Już Adorno krytykował marksistę Blocha za to, że ten wpadł w pułapkę filozofii idealistycznej. Podobnie jak wcześniej Schelling, stworzył historię o ruchomej podstawie świata, którego elementem był zawsze szczęśliwy cel. O *Zasadzie nadziei* Bloch mógł mówić tylko dlatego, że to ona nadawała historii ludzkości właściwy kierunek. I tylko dlatego dzień sądu ostatecznego staje się częścią samej historii – jako dzień, w którym „mieszczańskie” społeczeństwo znajduje się u swego kresu, a rozpoczyna się okres wspólnoty socjalistycznej. Komunistyczna elektrownia atomowa jest tu bezpieczniejsza niż mieszczańska, a historycznie piętrząca się formuła „jeszcze nie” zmienia się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki w przynoszące wybawienie „tu i teraz”.

Fakt, że historię świata pcha w kierunku przyszłości metafizyczny wiatr wiejący z tyłu, postrzegamy dzisiaj nie jako filozofię, lecz wybujałą beletrystykę, jako pożegnalne pozdrowienie minionej epoki przed drogą w pozornie już niezdolną do transcendencji współczesność. Wszystko wskazuje bowiem na fakt, że to utopijne „jeszcze nie” dawno zastąpiła formuła „więcej nie”, a żarliwy mesjanizm Blocha zamienił się w mgliste przecucie apokaliptyczne. Podczas gdy w *Zasadzie nadziei* historia ma wiele czasu, to dziś ucieka on w zawrotnym tempie wyznaczając społeczeństwom ich czasowe granice. Dziś postrzegamy naturę zupełnie inaczej niż Bloch – już nie jako wielką odmiennność czy milczący obcy twór. Naturę już dawno przeniknęła cywilizacja, i to w takim wymiarze, że nawet Bloch z całą swoją wybujałą fantazją nie byłby w stanie sobie tego wyobrazić.

To prawda, że myślenie w kategoriach utopii społecznej zostało odarte ze swojej magii, że skompromitowało się przed rzeczywistością i pokonał je polityczny i ekonomiczny „realizm”. Tylko co właściwie oznacza realizm? Rzeczywiście istniejący realizm niszczy naturę i wywołał, zupełnie przy okazji, fantastyczny wręcz kryzys rynku finansowego, który zażegnać mogło jedynie realne 9 miliardów dolarów pochodzących z pieniędzy podatników. Jest to ten rodzaj realizmu, który prowadzi do irracjonalności, do namacalnej antyutopii ciągłej niepewności, nakazującej zastosowanie myśli przewodniej Blocha – idei „ratunku” – także wobec jego własnego dzieła.

Co można uratować z tej kruchej utopijnej konstrukcji, z niezwykle obszernej książki czytanej w nieskończoność autora? Niezapomniana pozostanie z pewnością idea wolności, która „pozwała na byt”, nie ulega szantażom, szczególnie ze strony „ślepego ekonomicznego losu”. Wspaniała jest wizja, w której mądrość społeczeństwa odzwierciedla się w jego stosunku do natury. Wizjonerski charakter ma myśl o instytucjonalnym poskromieniu ludzkości. A także nadzieja na to, że kiedyś każdy człowiek będzie miał prawo do posiadania własnych praw. I to prawdopodobnie już wszystko, cała reszta

to stwarzanie pozorów: musimy działać w taki sposób, jakbyśmy mogli zapobiec katastrofie klimatycznej i tak, jakby możliwe było pozbawienie techniki jej „katastroficznego charakteru”. Postęp byłby możliwy, gdyby udało się zyskać na czasie i złagodzić skutki rozwoju. To także byłaby zasada nadziei, ostatni skrawek metafizyki.

Artykuł został opublikowany w 46. numerze „Die Zeit” w dn. 5 listopada 2009 roku.

Tłumaczenie z języka niemieckiego: Kinga Zielińska

Redakcja: Zofia Matejewska

© DIE  ZEIT

© dla polskiego tłumaczenia:

